

Tutejszość, która bywa nietutejsza

Nie wiem, w jaki sposób utknąłem tutaj na całą noc. W sianie. Na strychu. Jest świt. Brzask. Albo poranek. Od dachu bije parna ciepłota.

Z zewnątrz dochodzą zwierzęce oznaki niepokoju. Krowa muczy. Baran beczy. Jedyna kura w obejściu udaje, że zniosła jajo. Do tego gęganie gąsiora. Pies ujada, pobrzękując łańcuchem o budę.

W chałupie nikogo nie ma. Ślepa babka Maria potyka się o sprzęty. Złazę po drabinie. Kuzyn Kazek ani myśli bez nagabywania zleźć ze strychu. Proszę żeby chociaż posłuchał, co się dzieje w obejściu. - Myślę, że one wszystkie czują za blisko obcego, jakbym tutaj wziął się skądś. Mówię. - Przecież jestem tutaj obcy. Wakacyjny. Kazimierz tylko słowem się odzywa. - Chodź. Mówi. A ja idę, jakby po naukę, bo wszystko dla mnie pierwszozna. Jak święta, z powodu tajemnicy, nowina.

- Będziemy jeść. Powiada Kazimierz. Gdzieś mnie ciągnie. Wycofujemy się za stodołę. Schodzimy w okolice wypalonych ruin fundamentów pierwszej chałupy w obejściu. Na popiołach najbardziej udają się gołąbki. Samosiewne grzyby. Surojadki. Zbieramy tylko średnie. Są najlepsze. Wracając wygrzebujemy jaja z dzikiej grzędy.

O nic nie pytam. Ufam Kazimierzowi. Jest bardziej stąd, niż sosna zasadzona na pamiątkę pierwszego rozwiązania ciotki. Jest apostołem mojego przejścia z tamtego świata. Przed wejściem do chałupy, zatrzymujemy się w sieni. Kazek otwiera pakę, nabiera w koszulę trochę mąki. - Mamy wszystko. Mówi, jakby wypowiadał zakłęcie.

Jesteśmy sami. Babka Maria się nie liczy. - Potrafi już tylko żreć. Uspokaja mnie Kazimierz. Nie jestem przekonany. Czuję jej ślepa obecność, intensywne milczenie. Kazek myśli, że to strach. Ja wiem, że to respekt, który się Marii należy, nawet gdy kuca koła wyra, wypróżnia się i podsuwa kupę pod łóżko. Jestem wzruszony. Jakbym tego nie widział.

Kazek wysypuje mąkę na stół. Robi ciasto. Rozpala w piecu. Grzybów nie myje. Kładzie na płycie ciasto i grzyby. Paski pęcznieją, na powierzchni robią się złociste, pękające koła. - Podpłomyki. Tłumaczy. W miseczkach grzybów pojawia się brunatny sok. Spod ściany, od łóżka, słychać babcine pociąganie nosem. Maria unosi głowę – próbuje zlokalizować źródło zapachów. Wstaje. Przesuwa się w kierunku pieca. Kazimierz stawia taboret na linii babcinej marszruty. Stara człapie powoli, z namaszczeniem. Kazimierz celebryje tę wędrówkę. Babka otwiera oczy, pokazuje

mleczne gałki, pozbawione rogowek. Boję i cieszę się, że widzi. Babka dochodzi do taboretu, potyka się, pada na klepisko. Instynktownie wyciąga ręce i nie robi sobie krzywdy. Nie klnie, nie próbuje wstać. Na coś czeka. Kazek ściąga z płyty kawałek placka, rzuca go na klepisko. Gdy babka, wachając dociera do niego, prawie bierze go z ziemi ustami, Kazimierz stopą odsuwa go w bok. Tak kilka razy. Aż Maria, ciągle leżąc, łapie Kazka rękami za nogę. Chce ugryźć. Wtedy Kazek podnosi z klepiska ciasto. - Na. Mówi, wpychając babce brudny kawałek w gębę. Maria połyka kęs. Wycofuje się na wyro, jak najedzony pies. Nie podnosi głowy. Nie widać, co ukrywa pod ściśniętymi powiekami. - Może ją coś boli? Pytam. - Zła jest. Odpowiada Kazimierz - Głodu boi się bardziej niż śmierci i żre jak nieśmiertelna. - Jej głód cię niepokoi? Pytam. - Raczej jej apetyt. Krzywi się Kazimierz. - Zjadła, a i bez tego nieżywa. Pewnie jej jeszcze jakąś nadprzyrodzoną odrobinę brakuje – kończy. Maria z omszałej, po męsku zarośniętej brody, wyciera ślinę.

- Chodź. Kazimierz coś nowego wymyśla. Idziemy do piwnicy. Z glinianego garnka z mlekiem odlewa z pół litra do blaszanego kubka, z którego stryj pija wódkę. Włazimy na strych. Gdy jesteśmy na górze, w odeskowanej części nad sienią, ale bezpiecznie daleko od włazu, odrzucamy siano do gołego stropu. Przez szpary między deskami widać, co dzieje się na dole. Wie, czy nie wie o tym Maria?

Stara czuje, że nikogo nie ma. Zsuwa się z wyra, pełnie do pieca z uniesioną głową, obwąchuje powietrze, przemieszcza się do wyjścia. Wykorzystuje framugę jako oparcie, wstaje na nogi. Przeszczepuje próg. Jest w sieni. Z góry widzimy siwą, pochyloną głowę. Bez wyciągania rąk, z zapamiętania, robi kilka pewnych kroków w kierunku paki z ziarnem na jesienny zasiew.

Żeby udały się jare i oziminy, ziarno musi być suche. Ciotka nie przywiązuje do tego wagi, wujek ma to gdzieś, ale babka w bezwarunkowym odruchu, codziennie - czy ktoś to widzi, czy nie - wsuwa ręce do paki i wyciąga garściami spod spodu, a nawet z samego dna, wilgotniejsze ziarno na wierzch, żeby przeschło. Robi to od zawsze, sama nie pamięta, od kiedy i po co.

Wie, albo czuje, że to ziarno jest co roku początkiem wszystkiego, istotą wszelkiego życia na świecie. Ma od tego macania więcej ciepła niż od najczulszego przytulania, niż od najtkliwszych słów. Więc teraz się modli. Gdyby w półmroku sieni przyjrzał się starej z bliska, to by wypatrzył leciutki grymas uśmiechu, mikroskopijny strzępek zadośćuczynienia na marmurowej twarzy. Ale nikt z obejścia tak nie patrzy, ani sili na szukanie miękkich słów. Ze strychu tym bardziej nie widać twarzy. Niewiele

słysząc poza domową ciszą, szelestem wiatru smagającego strzechę, szmerem przelewającego się poniżej strumienia.

- Widzisz? Pyta Kazimierz. Widzę Marię. Myślę, że czegoś szuka, grzebie w pace bez zrozumiałego powodu. - Siał jej się patrzy. Tłumaczy szeptem Kazimierz. - A gównu! Odgraża się głośniej. Przez szparę w podłodze strychu, z ojcowego kubka, wylewa mleko. Cienką strużkę celuje w głowę Marii. Trafia za pierwszym razem. Babka z początku nic nie czuje. Dopiero, gdy mleko spływa po twarzy - wyciągniętym językiem smakuje ciecz. Upewnia się, czy to tylko deszcz spod strzechy, czy być może szczyny Józefa - który jak dobrze pijany, nie złazi do wychodka. Klęka przed paką, ręce składa do modlitwy. Głowę do piersi przyciska, jak przy mea culpie, potem podnosi do góry, ku niebu - na zmianę kołysze się w podzięce. Szepce pod nosem. Ze strychu nie słysząc, komu i za co dziękuje. Kazimierz przykładą ucho do desek. - Cicho! Pomaga ciszy, chociaż ciszej już być nie może. - Po jakiemu gada? Zastanawia się półgłosem.

Nikt na świecie nie zrozumie, w jakim języku, z jakim Bogiem Maria się układa, kiedy na dole, pod ręką - ziarno, a z góry - mleko. Większego cudu Maria nie potrzebuje.

Kazimierz wstaje, jakby go kto wrzątkiem pokropił. - Pacierze klepie franca nadaremno! Wścieka się. Dudnienie na górze wyrwa babkę z zaświatów. Prostuje się, oczy szeroko otwiera, podnosi głowę bez ślepej pokory. - Żebyś ty zdybie z głodu spuchł! Krzyczy z dołu. - To i gada po ludzku jak się czego z nieba zachciewa! Odszczekuje Kazimierz. Maria trzęsie się z przerażenia. Rusza na przeciwległą ścianę. Po drodze wyciąga z koryta tłuczek do ugniatania świńskich ziemniaków. Wsuwa bosc stopy w szpary między belami ściany, pomaga sobie rękami, tłuczek z jednej do drugiej przekłada. Powoli, wdrapuje się na górę. Kazek odwraca się do mnie, popycha do okna z drabiną. Babka jest już za nim. Ledwie na pierwszym szczeblu stawiam nogę, Kazimierz już jęczy od babcinego uderzenia. Po drugim razie, spycha mnie z drabiny. Spadam, niby nie z wysoka, ale wystarczy żeby zwichnąć nogę. Za mną Kazimierz, podwójnie sfatygowany, ląduje na psiej budzie.

Maria schodzi ze strychu inaczej, zwinnie przekłada nogi po szczeblach drabiny. Coś ją nagle wyprostowało. Jakaś paskudna siła. Albo znowu niczego nie widzi, albo nie wie, co się dzieje. Wreszcie znowu jest cicho. Tylko pies wraca do porannego szczekania, jakby przy budzie nie swoi, a obcy lizali rany.

Podpierając się nawzajem dochodzimy do izby. Maria siedzi na wyrze, jak wczoraj, przedwczoraj i zawsze - zgięta w pół. Spod przymkniętych powiek nie patrzy

na świat. Przeczuwa jak zwierzę, że idą swoi. Gdy ustaje psie tarabanienie, w progę, jak zjawą wyrasta Józef. Ciotka wyklada na stół to, co za spieniężenie na kleparzu papierówek, renklod i innego dobra, pokupowała w mieście. Są tulejki miętowe, salceson z taniej jatki, ocet, sól, słoiczki z fioletowymi pieczętkami zamiast etykiety, flaszka wódki z czerwoną kartką.

Na końcu ciotka wyjmuję bułkę. Jedną. Co jest podejrzane. Będzie dzielony okrągły, chrupiący, wyglancowany jajkiem bajgiel. Poza mną, nikt nie interesuje się bułą. Ciotka idzie z nią do wyra. - Jedzcie matka. A pamiętajcie podziękować przed Bogiem. Podaje Marii najlepszy ze wszystkich przetransportowanych ze świata wiktuałów. Idę po swoją część, ale Kazimierz łapie mnie za rękę. - To jest dopust. Tłumaczy. Wkłada mi w rękę aluminiową łyżkę. Podsuwa do połowy opróżniony słoik. Wygrzebuję z różowej, gulaszowej mazi trochę czegoś, co jest być może nieco twardszym kawałkiem mięsa. Czuję nasycenie. Kazimierz mnie adoruje. To pewnie wielkie wyróżnienie jeść w dzień powszedni, o byle jakiej porze, bez żadnej zwyczajowej okazji - tyle mięsa na jeden raz. Gdy w gębie robi się pełno, bo nie chcę rzygać na stół, wybiegam do sieni. Nie daję rady dobrnąć na pole, zwracam na pakę z ziarnem. - Dobrze, że Maria nie widzi. Myślę. Ale z głębi chałupy patrzy na mnie Józef. Wstaje, wybiega z izby. - Rany boskie! Wrzeszczy i wali mnie pięścią w plecy. Teraz wypróżniam nie tylko głowiznę, ale i grzyby - wszystko, co zjadłem po drugiej stronie świata. Stryj trzyma mnie za podkoszulek. - Skądś pomiot zafajdał chleb! Komunikuje. Z izby wychodzi sfatygowany Kazimierz. - Dajcie ojciec spokój, nażarł się normalnie nieswojego i tyle. Stryj wlecze mnie do progę, wypycha za drzwi, poprawia kopniakiem.

Ładuję na błotnistym podwórku. Obserwuje mnie cała rodzina. Nie czuję tylko ciężkiego spojrzenia Marii. Wiem, że wylazła ze mnie jakaś tutejsza niegodność. Wstyd mi. Mdli mnie własny smród. Wstaję. Zbiegam po Miterówce do paryi. Nad potok. Nic mnie już nie boli.

Kładę się wzdłuż nurtu strumienia. Jest płytko. Woda ledwie do połowy przykrywa bezwładne ciało. Nabieram powietrza. Zanurzam twarz. Woda wlewa się do uszu. Słyszę głęboki szum. Daleką przestrzeń, która zagłusza wszystkie odgłosy z mierzewiczowego sadu, z Podbiałowego Wzgórza, z Góry Świętego Marcina, z rozcapierzonego w dole miasta, zewsząd z bliska. Nie słyszę nawet wiolonczelowej ciszy Cmentarza Komunalnego. Otwieram pod wodą oczy. Widzę z najbliższego bliska dno strumienia. I nic nie widzę. Wyciągam głowę. Przemywam twarz. Uważnie

nasłuchuję najbliższych odgłosów. Czysty. Wypłukany z uświęconego, jak się przekonałem, trawienia. - Co teraz będzie? Myślę. Nade mną ćwierkają ptaki. Pode mną piszcza hamulce samochodów. Z boku bije dzwon drewnianego kościółka. Moje stopy w strumieniu. Krystaliczna woda przepływa między palcami. Gdy za długo się przyglądam, wydaje się, że woda stoi, a stopy płyną. Aż strach, że cały odpłynę gdzieś na koniec świata.

Wysoko, za plecami, słyszę szczekanie psa. Ktoś się zbliża. Zza rogu chałupy wychodzi ciotka. Coś niesie w ręku. Nie wiem, czy się chować, czy zostać tutaj. - Daleko gdzie nie mam co uciekać, wszędzie mnie tu znajdą. Wyrokuję.

Ciotka uśmiecha się. W ręku trzyma kubek. Pełny świeżego mleka. Poznaje po piance na wierzchu. Krzywię się. Ciotka nie pozbywa się dobrego uśmiechu. Wyciąga zza pleców drugą rękę. Podaje solniczkę.